

Tomek wyjeżdża na mazowiecką wieś do babci, której do tej pory nie znał, i tam, daleko od domu, bez wsparcia najlepszych kolegów, poznaje tajemnicę swojej rodziny i mierzy się z własnym strachem.

Mocne przygody, bezimienne groby, sekrety i zabawne odkrycia, nowi znajomi i jeden (albo nawet dwóch) tajemniczych mścicieli.

– Mówiłaś o jakimś potworze przy obiedzie.

– No tak, o Kobre – przytaknęła Lina. – Tu ostatnio ciągle coś złego się dzieło, napadali ludzi albo jeździli jak wariaci, albo kradli...

– Kto?

– Nie wiadomo. Różni. A ludzie się bali, policja nic nie pomagała, aż się pojawił taki jeden i robi porządek, albo pomaga, jak trzeba. Jak jakiś Superman, serio.

– Superman? – Tomek otworzył szeroko oczy.

– Mhm – pokiwała głową poważnie. – Tylko nie wiadomo, jak wygląda, bo każdy mówi co innego. Że jest ogromny, że nieduży, że to diabeł, że to anioł, że to UFO albo potwór. Przyjeżdża czymś świecącym, grzmi, puszcza dym i wymachuje batem. I jeszcze o oczach gadają, że ma jak talerze, albo jak żarówki.

Tomaszek zadrżał i odruchowo rozejrzał po szumiących zaroślach wokół młyna. Może się mylił, może tu wcale nie jest tak nudno, jak się wydawało.

Katarzyna Wasilkowska – autorka książek dla dzieci młodszych i trochę starszych (*Jowanka i gang spod Gilotyny*, *Mlecza*, *Królestwo jakich wiele*). Za debiut literacki nagrodzona statuetką Guliwer w krainie Olbrzmów.



Polecają:

Qitarka
dziecko i kul

miasto
DZIECI.pl

MBP Cieszanów
Kobra /



M000011307

ISBN 978-83-7672-645-8

KATARZYNA
WASILKOWSKA

KOBRA



KOBRA

KATARZYNA
WASILKOWSKA





LINA I RELKA

O szóstej rano w ogrodzie było już całkiem ciepło, ale wciąż rześko, powietrze nie zdążyło jeszcze nabrać ciężkości. Tomek uniósł ramiona nad głowę i rozciągnął się.

W Gdańsku, tuż przed wyjazdem, spotkał się ze swoim sensei od aikido. Chciał, żeby pokazał mu przykładowy trening, który mógłby wykonywać samodzielnie podczas wakacji, żeby nie wyjść z wprawy.

– W aikido najważniejsza jest praca z partnerem, zwłaszcza na początku – powiedział wtedy trener. – Nie zdziałasz za wiele w pojedynkę. Możesz jednak wykorzystać ten czas. Skup się na samodyscyplinie.

Dlatego właśnie teraz był w ogrodzie. Może to i dobrze, że wakacje na wsi zapowiadają się na monotonne. Będzie mu łatwiej wstawać każdego dnia o tej samej porze, żeby wykonywać swoje ćwiczenia – suchą zaprawę, zamiast codziennego pływania na basenie.

Kot przyglądał się chwilę skłonom Tomka ze zrozumieniem, po czym wskoczył do hamaka i szorstkim językiem zaczął cierpliwie czyścić swoje futerko.

Kiedy wracali razem z ogrodu, spotkali babcię, która zmierziała w stronę kurnika.

– Chodź, pokażę ci, jak się zbiera jajka! – zawołała. – Zaraz dostaniesz świeżą jajecznicę, a potem ubierz się ładnie. Pojedziemy do kościoła.

Tomek skrzywił się mimo woli. Babcia zatrzymała się przed kurnikiem i spojrzała na niego uważnie.

– No chyba chodzie tam do kościoła w niedzielę? – zapytała.

– Czasem chodzimy – odpowiedział Tomek.

– Ale przynajmniej do komunii przyjęty byłeś?

– Tak, tak – odparł zakłopotany, starając się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio był na mszy.

Babcia mruczała coś chwilę pod nosem niezadowolona, ale zaraz wręczyła Tomkowi wiklinowy kosz wypełniony sieczką i pokazała, jak zbierać jajka.

Śniadanie było wspaniałe. Tomek wypił nawet niedzielną poranną kawę babci, czyli zbożową pół na pół z czarną, z gorącym mlekiem. Bardzo mu smakowała.

Babcia włożyła suknię w kwiaty, a Tomek biały T-shirt. Spróbował przygłodzić palcami swoje jasne loki, ale one jak sprężyny i tak natychmiast wracały na miejsce.

Wjechali na zadziwiająco rozległy parking pod kościołem. Babcia powiedziała, że do parafii, oprócz Dębowego Borku, należy aż piętnaście wsi.

Rzeczywiście, parking szybko się zapełniał. Nadjeżdżali też wierni na rowerach, ale większość przyszła pieszo. Wszyscy byli bardzo odświętnie ubrani, witali się i przystawali, żeby chwilę pogawędzić, bo do mszy było jeszcze trochę czasu.

– Na ósmą nie uwidzisz żadnych młodych – powiedziała babcia. – Lubią popierdzieć w piernaty przy niedzieli. Tylko te stare nie umieją spać długo. – Wskazała głową zbierających się parafian. – Zawsze są za prędko.

Weszli po szerokich schodach na dziedziniec kościoła i jak inni, którzy znaleźli się tu wcześniej, stanęli jak wryci.

U dołu zamkniętych jeszcze ciemnych wrót kościoła biegły wypisane kredą wielkie litery, układające się w hasło: „PIES SOŁTYSA Z GŁODU SKISA!”.

Wystrojeni parafianie gapili się na napis, jakby bojąc się podejść bliżej. Co bardziej przytomni kręcili głowami z oburzeniem, a Tomek pomyślał o Heniutce.

Kiedy pod kościołem zebrał się już spory tłum, coś z tyłu wywołało poruszenie. Po ludziach przebiegł szmer i zebrani rozstąpili się na boki.

Utworzonym szpalerem nadciągał, sadząc długie susy, sołtys Ambroziak. Za nim w butach na bardzo wysokich obcasach próbowała nadążyć jego żona.

Wparował na dziedziniec niczym na scenę, zatrzymał się na chwilę, by odczytać hasło, i prawie fioletowy na twarzy rzucił się wycierać je rękawami niedzielного garnituru.

– Waluś, weź przestań, taka dobra marynarka! – biegła za nim sołtysowa w lśniącej różowej sukni.

Wtedy drzwi kościoła otworzyły się i stanął w nich niewysoki mężczyzna w aureoli rzadkich kręconych rudych włosów, sięgających ramion. W jego łysym czole odbijało się poranne słońce. Był tłusciutki jak pączek i bardzo z siebie zadowolony. Spojrzał drwiąco na wściekłego Ambroziaka i skinąwszy głową, zaprosił zebranych do środka.

– To Kalarus, organista – powiedziała babcia półgłosem. – We łbie mu się poprzewracało od tego z góry na ludzi patrzenia. Ma się za większego od proboszcza. A z sołtysiem to tak się nienawidzą, że aż się prawie kochają. No chodź, chodź, żebyśmy mieli gdzie usiąść – dodała, chwytając go pod łokieć.

Weszli do chłodnego kościoła. Tomek, trochę onieśmielony, zatrzymał się pod chórem, ale babcia zdecydowanym krokiem pomaszerowała środkiem przed sam ołtarz, więc, chcąc nie chcąc, pospieszył za nią.

Ledwo zdążyli usiąść, kiedy rozległ się dzwonek na rozpoczęcie mszy, wyszedł ksiądz i jednocześnie zagrzmiały organy.

Wygrywana melodia nie przypominała niczego, co Tomek kiedykolwiek słyszał, po prostu – nie przypominała w ogóle niczego. Natomiast śpiew przypominał wszystko, poza wygrywaną melodią. Tomek nie wytrzymał i obejrzał się na chór. Nie mógł uwierzyć, że słyszy prawdziwe dźwięki. Słuchał jak zahipnotyzowany, wpatrując się w widoczny nad barierką chóru, roztańczony czubek głowy organisty, i dopiero gdy babcia szturchnęła go trzeci raz, odwrócił się do ołtarza. Nieliczni śmiałkowie, którzy śledząc tekst wyświetlany na tablicy obok ołtarza, próbowali włączyć się do śpiewu, szybko rezygnowali.

Tymczasem organista Kalarus odprawiał jakiś przerażający rytuał. Kiedy organy grały wolno, jego śpiew przyspieszał, po czym znienacka zwalniał, w całkiem zresztą skocznych momentach.

Organista to zawodził z zaangażowaniem, to od niechcenia nucił pod nosem, by po chwili zaśpiewać z taką rozpaczą, jakby zaraz miał się zanieść płaczem. Zmieniał tempo, zawieszał dramatycznie głos, aż w końcu wydał z siebie coś, co przypominało śmiech hieny, i zakończył basowym „Aaameeen”.

Wyglądało na to, że na nikim poza Tomkiem występ nie zrobił większego wrażenia. Może byli już przyzwyczajeni.

Dalej msza przebiegała zgodnie z planem, w odpowiednich momentach przerywana gorliwymi występami na chórze.

Kiedy jednak organista Kalarus zszedł z góry, żeby przyjąć komunię, w kościele niespodziewanie popłynął zupełnie inny, równy śpiew. Wszystkie kobiety, także babcia, śpiewały rzewnie i z taką mocą, jakby były młode. Czegoś takiego Tomek też nigdy nie słyszał.

Na sam koniec ogłoszeń parafialnych ksiądz proboszcz podziękował z ambony państwu Żołądkom, którzy ufundowali nowy witraż w kościele, na co babcia cicho fuknęła.

Potem przypomniał, że – jak powiedział święty Augustyn – „Kto śpiewa, dwa razy się modli”.

– Ja rozumiem, że niektórzy mają robotę w polu. – Proboszcz pokiwał głową. – Ale przecież większość z was już w ogóle nie ma pól. Macie czas na to, żeby pod piekarnią wysiadywać z butelką w garści, a na próbach chóru pustki! Pan Kalarus powiada, że ostatnio przyszły dwie osoby! Dwie! Widzieliście kiedyś chór z dwóch osób? Ja nie widziałem i ksiądz biskup też nie widział. Ale zobaczy, przyjedzie na odpust i zobaczy – dwuosobowy chór z Dębowego Borku. Będziecie sławni na całą diecezję. I kto się będzie wstydził? Mam nadzieję, że wy, bo ja nie mam zamiaru! – huczał dobrze już spocony ksiądz, a zebrani starali się nie patrzeć mu w oczy.

Po zakończonym nabożeństwie proboszcz stanął przed wejściem do kościoła, żeby pożegnać parafian i zamienić z niektórymi parę słów.

Za jego plecami błyskawicznie wyrósł organista i co chwilę gorączkowo szeptał mu coś do ucha.

Kiedy z kościoła wyszedł sołtys Ambroziak z żoną, proboszcz wyciągnął do niego dłoń, jednocześnie marszcząc brwi.

– Panie Walenty, dochodzą mnie słuchy, żeś pan odmówił kwestowania w swojej wsi na kwiaty do dekoracji ołtarza na Wniebowzięcie?

Ambroziak sfoletował na twarzy już drugi raz tego ranka.

– Kto księdzu takich głupot nagadał? – odparł zdenerwowany, starając się spojrzeniem zmiażdżyć uradowanego organistę. – Na kwiaty zbieram, jak co roku, tyle że nie latam po chałupach. Do mnie przychodzą, do kancelarii, i wpłacają. Całkiem dużo już w kasie, całkiem, całkiem.

– Do kancelarii?! – parsknął organista. – A od kiedy u ciebie kancelaria, Waluś? I gdzie? W kuchni przy piecu chyba.

– Idź, zaczekaj przy samochodzie, Tomek – powiedziała babcia. – Ja tu jeszcze sołtysowi zostawię na kwiaty i zaraz jedziemy.

Tomek oparł się o tylne drzwi tico i przyglądał się ludziom. Nawet tu wesoło – pomyślał. Poza tym był na wsi niecałe dwa dni i już rozpoznał dwa nazwiska, które proboszcz wymienił z ambony. Inaczej się żyje w takiej małej społeczności niż na miejskim osiedlu.

Znajdował przyjemność w kłanianiu się mijającym go wąsatym mężczyznom w lśniących białą koszulach, kobietom w sylwestrowych kreacjach, które z wprawą balansowały na wysokich obcasach po nierównym bruku, i staruszkom w kwiecistych chustach na głowach. Nigdy nie spotkał w mieście kobiety w chustce na głowie, no, może raz – rumuńską żebraczkę na przystanku w Gdańsku. Teraz jedna z nich wyraźnie szła w jego stronę. Przypatrywał się z ciekawością zbliżającej się, zgiętej wpół drobnej postaci, ginącej niemal pod ciemnym kubrakiem i długą, ciężką spódnicą w kratę. Kobieta wspierała się na sękatym kiju, a kiedy podeszła bliżej, Tomek zauważył wystający spod czerwonej chusty, haczykowaty nos. Jak z ilustracji w książce o Królewnie Śnieżce, którą na okrągło musiał czytać Heniutce rok temu. Uśmiechnął się.